



FLISACY.

Przez

Dra Michała Janika.

Flisactwo znalazło już w złotym okresie literatury naszej swojego poetę. Był nim flisak-amator Sebastyan Klonowicz. Późniejsi niewiele umieli opowiedzieć o flisakach; snać Muza polska, pozbawiona morza, w uczuciach i dziejach wiślanych żeglarzy nie znalazła dla siebie poetyckiego materiału. A i sami flisacy posiadają skromną bardzo wiązaną piosenek własnego układu. Poprzestawali przeważnie na znanych pieśniach pobożnych lub świeckich, wywiezionych z miejsca urodzenia.

Postęp nowożytny, usuwając wiele prastarych instytucyi, zagroził także flisowi i bliskim jest czas, kiedy ten sposób zarobkowania utraci nietylko rację bytu, lecz nawet zaginie po nim tradycja.

Początek flisu sięga prawdopodobnie tej doby, kiedy nad rzekami osiedlili się ludzie, a więc kiedy u nas nad Wisłą zamieszkali Polanie. Rzeka była naturalnym gościńcem, a flis koniecznym w razie potrzeby zajęciem. Gdy społeczeństwo zorganizowało się w stany i zawody, otrzymał i flis swoją organizację. U nas w Polsce nie była ona rodzimą, lecz jak wiele innych dobrych i złych rzeczy, przyszła od rządnych i gospodarnych Niemców. Świadczy o tem terminologia flisowska, która jest prawie wyłącznie niemiecką. Była ona jednak dość dawną, skoro już Klonowiczowi znane są wcale dokładnie obyczaje i język flisacki.

Nie umiałbym powiedzieć, które miejscowości w Polsce posiadały organizację flisacką. Od trzystu lat, a do pewnego stopnia jeszcze i dzisiaj, posiada ją galicyjskie miasteczko Ulanów, położony przy ujściu Tanwi do Sanu. W Ulanowie do dzisiaj flis jest głównym zarobkiem przeważnej części ludności i ma dość dawną tradycję. Nie jest jednak monopolem ulanowskich mieszkańców, gdyż sławetnym retmanom tego miasteczka prze-

szkadzają niejednokrotnie Krakowiacy od Czernichowa, Nadbrzeziacy z nad Wisły i wielu innych nieprawnych, jak sądzą w Ulanowie, przywłaszczycieli flisu. W każdym razie Ulanów pozostał do dzisiaj najbardziej znamionem gniazdem flisu, a przed kilkudziesięciu jeszcze laty był bardzo ożywionem ogniskiem wywozowem. Oddawali mu tę sprawiedliwość nawet Niemcy, nazywając go wówczas nie bez przesady galicyjskim Gdańskiem (*galizischer Danzig*). Starsi mieszczenie opowiadają jeszcze teraz z przechwałkami o licznych i zasobnych spichlerzach, do których sandomierska ziemia i część lubelskiej zwoziła swoje zboże i inne płody na eksport do Gdańska. Budynki były drewniane, więc niszczały, a gdyby nie akta miejskie, nie możnaby nawet sprawdzić, o ile te przechwałki mają uzasadnioną podstawę. Po rozbiórce kraju, gdy z powodu różnorakich ceł musiało sobie szukać zboże innych gościńców, niepotrzebnymi były spichrze, gdyż od tej pory najgłówniejszym artykułem wywozowym stało się drzewo. Dzisiaj i drzewa zaczyna brakować i koleje silną czynią konkurencyę, więc i flis w starym tego słowa znaczeniu przechodzi godziny przedłużonego konania.

Osada Ulina z woli właściciela Stanisława z Uliny Ulińskiego, a na mocy przywileju króla Zygmunta III. z r. 1612, wyniesioną została do godności miasteczka i obdarzoną prawem niemieckiem («wedle Saksonu»). Zarząd miasteczka spoczął w rękach »pospólstwa«, a sprawowali go: wójt, dwaj burmistrzowie (jeden dworski), pisarz przysięgły, szafarz i ławnicy. Władza zarządu dzieliła się na administracyjną i sądowiczą i była dość rozległą, bo wyrokowała nawet wspólnie z dworem w sprawach zabójstwa. Od sądów miejskich można się było odwołać przed forum dworskie. Także każdorazowa elekcyja zarządu miejskiego musiała być przez dominium zatwierdzaną. Ludność miasteczka trudniła się rękodzielami, z których najgłówniejszemi były: sukiennictwo, kowalstwo, garncarstwo i budowanie statków. Flis był z początku jednym tylko z zajęć, dopóki z upadkiem Rzeczypospolitej nie stawał się coraz bardziej wyłącznym, aż wreszcie za czasów austriackich stał się prawie jedynym zatrudnieniem mieszkańców. Jednakże już wkrótce po założeniu miasteczka zawiązali się flisacy w bractwo patronki swojej św. Barbary, czyli cech flisacki. Na jego czele stał cechmistrz, czyli »starszy brat«. Cech ten, na wzór innych urządzony, posiadał swoje księgi i miał zupełną władzę nad flisakami. On

oznaczał, kiedy młody chłopiec odbył lata próby, on nareszcie mianował majstrów czyli rotmanów. Wpływ cechu trwał do niedawna; dopiero kiedy austriacy urzędnicy nałożyli opłatę na patenty rotmańskie, flisacy, nie chcąc uiszczać opłaty, gdyż zarobkowania swego nie chcieli uważać za rzemiosło, zerwali przez to samo organizację cechową. Dzisiaj bractwo św. Barbary jest związkiem czysto religijnym, a z dawnych czasów pozostała tylko msza na wspólną intencję, opłacana niegdys dukatami.

Świadkiem dziejów flisackich pozostanie niezadługo jedynie sam kościółek parafialny, drewniany, z XIII. w., który na ścianach wnętrza mieści wiele emblematów, związanych do pewnego stopnia z długoletnim zatrudnieniem mieszkańców. Zbudowany pod wezwaniem św. Jana Chrzciciela, w jednym z bocznych ołtarzów ma obraz patronki flisaków św. Barbary. Na ścianach pomieszczono Chrystusa podczas burzy na jeziorze, św. Krzysztofa przenoszącego wedle znanej legendy cudowne dziecko, św. Jacka z wizerunkiem Bogarodzicy, rotmana na łódce i na koniec między innymi siedm sakramentów, gdzie widzieć można dawne stroje mieszczańskie, nie różniące się zresztą prócz braku karabeli w niczem prawie od stroju drobnej szlachty.

Już z wczesną wiosną przygotowują się flisacy i oryle do wędrownki, która trwa do późnej jesieni. Za ledwie spłynie lód, a za nim pierwsze wielkie wody, zaczyna się robota przy drzewie. Znajduje się ono w pewnych miejscach na brzegach dopływów wiślanych, dokąd je przez całą zimę wywożono i tam rozpoczyna się zbijanka, czyli z niemiecka binduga albo winduga. Drzewo bywa różnego rodzaju; najczęściej spławia się budulec t. j. potężnej nieraz wielkości jodły i sosny, albo morłaty, również drzewa szpilkowe, lecz mniejsze i ciosane w kostkę, rzadziej dębinę w wielkich pniach lub krajaną na progi czyli szwele albo ćwiele. Na progi kraje się także drzewa szpilkowe. Drzewo to spuszcza się po pomostach sztuka za sztuką na wodę, gdzie rozpoczyna się zbijanka. Zazwyczaj po siedm do dziewięciu sztuk zbija się gwoździemi do dwóch ramion (cieńsze belki poprzeczne) w jeden tafel. Siedm do dziewięciu tafli tworzy jeden pas. Tafle łączy się ze sobą zapomocą srykówiek (kręcona brzezina) albo cumy (drobne liny). Zdarzają się także wiązania zapomocą jarzma drewnianego. Dwa pasy tworzą jedną tratwę lub tratwę, a kilka tratew, nieraz sześć i więcej, tworzy jedną koleję, z którą załoga flisacka

odbywa ryzę do Gdańska. Tratwy kierują się za pomocą drygawek (olbrzymie wiosła, mniejwięcej w połowie swej długości osadzone na gładkim palu), których bywa na każdym pasie cztery albo sześć, po dwie lub trzy na pierwszym i ostatnim taflu. Do zatrzymywania tratw służą śryki, silne drzewa grabowe, które zręczny oryl puszcza na ukos do wody, a gdy śryk się osadzi, podbija go strzałką. Na wpuszczanie śryków są umyślnie wyrobione i obite dokoła otwory, po kilka na każdym pasie. W razie nadmiernie wezbranej wody, gdy śryki nie mogą dostać gruntu, przymocowuje się tratwy linami do łądu, aby nie uległy uszkodzeniu. Na każdym pasie pomieszczone są budy (namioty drewniane) na nocleg dla orylów i jedna zazwyczaj na każdej kolei skarbowka, przeznaczona dla szypra i rotmana. stanowiąca rodzaj małego domku, a tak nazwana dlatego, ponieważ tutaj wypłaca się zarobek.

Na czele załogi flisackiej stoi rotman albo majster, który sprawuje zazwyczaj także obowiązki szypra. Rotman kieruje całą koleją, aby nie zajechała na hak albo mieliznę, ani nie uszkadzała mostów i tam, czyli główek, gdyż naraża to nie tylko tratwy na uszkodzenie, lecz i właścicieli kolei na dotkliwie grzywny i zwłoki. Dlatego jedzie przodem na łódce albo czólnie (jednolita sztuka drzewa, wyżłobiona i nader chybka, lecz konieczna dla łatwości zwrotów) i osadza za sobą wicie wierzbowe lub olszowe, wskazując płynącym drogę. Pomocnikami rotmana są: podmajstry i dwaj zazwyczaj rotmańcykowie, którzy czuwają nad tylnymi tratwami. Szyper, osobno nieraz obok rotmana, wypłaca ludziom pieniądze. Wymienieni nazywają się w ściślejszem słowa znaczeniu flisakami; reszta załogi, obsługująca same tratwy, nosi miano orylów i dzieli się na przedników i chłopów. Ci poruszają drygawkami, a przednik, jeden zazwyczaj na każdym pasie, jest doświadczonym sterownikiem. Chłopi są zwyczajnymi najemnikami i rekrutują się z pośród ludności włościańskiej z różnych stron kraju. Tego samego pochodzenia są zazwyczaj i przednicy, lecz już dobrze wprawieni w swój orylski zawód. Komenda rotmańska jest dość skromna i ogranicza się do kilku tylko sakramentalnych wyrazów, jak n. p.: wybijaj (śryki, aby odpływać), śrykuj, aby kolej zatrzymać, całem (przednią część pasa od haku t. j. mielizny) i niektórych innych. Pomocnicy rotmana jadą obok tratw na krypach (większa łódź,

zbita z desek) lub powtarzają namacalnie ogólne rozkazy rotmańskie. Zarobek flisaków nosi różne nazwy i wedle stopnia różnej jest wysokości. Podczas zbijanki otrzymują dniówkę, a podobnie przy spustach do wybiegu (do uścia rzeki, jednego z dopływów Wisły). Dniówkę do wybiegu otrzymują tylko nadprogramowi flisacy, których liczba jest wtedy większą z powodu moźolniejszej żeglugi, czy to skutkiem niskiego, czy też nadmiernego stanu wody. Na początek ryzy otrzymują flisacy zadatek; przy wybijaniu z Ulanowa, jeśli tędy przypadkiem przepływają, pobiera nadto rotman poręka wieczne dla »pani majstrowej«. Zazwyczaj jednak ta zapłata mija się z celem i tonie w gospodzie »na odchodnem« z kolegami, pozostałymi jeszcze w domu. Nadaremnie pani majstrowa piecze smaczne chrupaczki (rodzaj mazurków) dla zjednania małżonka i inny wikt zamieszcza w rajzetaszu, boć trudno przecież nie pamiętać o kolegach, zwłaszcza gdy takie jest prawo zwyczajowe. Tylko biedni oryle sami muszą zaopatrzyć swoje kobiałki, bo oni porękawicznego nie dostają. Od całej ryzy, trwającej do czterech i więcej, wedle wody, tygodni, otrzymują flisacy myto. Rotman dostawał dawniej pięćdziesiąt i więcej dukatów, albo odpowiednią ilość talarów i marek, wedle tego, czy wypłata myta następowała na granicy pruskiej, czy aż w Gdańsku. Na koszt utrzymania wypłaca się tygodniowo strawne, dawniej wynoszące dla rotmana do czternastu rubli. Po odbyciu trzech ryz, co nie jest rzeczą trudną, wcale nieźle zarabiali rotmanowie tembardziej, że nie zbywało na różnych obrywkach. I reszta flisaków, choć znacznie skromniejszy, niezły przecież miała zarobek, lecz dzisiaj stosunki pod każdym względem zmieniły się na niekorzyść. Wszystkie interesy flisackie skupili w rękę swem żydzi, obniżyli zarobki, a nadto i tak już zmniejszonymi każą się dzielić ze sobą. Dzisiaj często idą flisacy na spółkę tj. otrzymują jednorazową tylko zapłatę na miejscu, gdzie oddane kupcom tratwy sprzedano. Toteż minęły czasy, kiedy rotmani ulanowscy nietylko cudze tratwy spławiali, ale sami się kupiectwem bawili. I wtedy było to niestety rzadkością, bo dawniejsi flisacy przestrzegali staropolskich obyczajów. Szedł więc zarobek za miód do żydowskiej kieszeni, a resztę pochłaniały śniadańka rotmańskie. Było bowiem dawniej zwyczajem, że w czasie pięciomiesięcznego wypoczynku rotmanowie kolejno się odwiedzali na tzw. rańszą, tj. obfite poczęstunki, składające się z gorą-

cych wędlin i napitku. Przytem odbywała się ożywiona pogadanka, której materyałem były plotki codzienne, a przedewszystkiem przygody flisackie z ubiegłego roku.

Nietrudno odgadnąć, że przygód takich nie mało się zdarzyło w ciągu siedmiomiesięcznej podróży. Dodać trzeba, że flisacy są ludźmi najlepiej znającymi Polskę w granicach Korony. Każdy z nich pływał Sanem i Wisłoką, Pilicą, Wieprzem, Bugiem i Narwią, a przedewszystkiem Wisłą. Każdy zna dobrze mniejsze i większe miasta polskie, jak: Warszawę, Lublin, Brześć, Modlin, Puławy, Włocławek, Toruń, Gdańsk, Wielbłąg (Elbląg), Grudziądz, Bydgoszczę, Poznań, Częstochowę, Wrocław, Kraków i inne. Toteż nic dziwnego, że z ust bywalców sypią się anegdota i dowcipy jak z rękawa, a humorysta czy inny literat znalazłby w nich nie mało barwnego materyału. Kiedy nie było jeszcze kolei i wogóle ustalonej komunikacyi, zdarzało się, że flisacy jesienią sto mil z Gdańska wędrowali do domu piechotą. Ta znajomość kraju i ludzi czyni flisaków śmiałymi, a nieraz zarozumiałymi. Dość powiedzieć, że dzieci swoich nie posyłali dawniej do wyższych szkół, lekce sobie ważąc godności urzędnicze. Trzynasto- lub czternastoletniego chłopaka brał już ojciec na flis, ażeby się robocie przypatrzył. Nazywano go wtedy frycem lub luzakiem albo żartobliwie lizakiem, ponieważ starszym musiał się »przylizywać«, a od niejednego za niezręczność »oblizął«. Kto poraz pierwszy jedzie na flis za zarobkiem, tego nazywają hartwólnikiem.

Zboże i owoce spławiano dawniej galarami (większe statki, budowane podobnie jak promy przy przewozach). Teraz używają galarów do spławiania płuta. Jest to kora ze starych drzew, ciosana i obrabiana w niewielkie kawałki, a używana zwyczajnie przez rybaków do wielkich sieci.

Pośrednikami między właścicielami drzewa a flisakami, są faktorzy, przeważnie żydzi. Oryłów rekrutuje sam rotman. Niekiedy biorą rotmani drzewo na własny rachunek tj. godzą się z właścicielem odstawić drzewo za umówioną cenę do Gdańska. Taki sposób flisowania jest bardzo korzystny, lecz zarazem niebezpieczny, gdyż w razie uszkodzenia lub zniszczenia drzewa, co zdarza się przy wielkich powodziach, odpowiadają za straty własnym majątkiem. Nazywa się to flisowanie na fracht.

Nie bez pewnego zdziwienia trzeba nadmienić, że mimo dokładnej znajomości Polski, flisacy nie zawsze mieli wyrobione

uczucia narodowe. Wina to bezwątpienia osławionej gospodarki porozbiorowej, kiedy rząd tutaj podobnie jak i w innych miasteczkach występował w obronie drobnomieszczaństwa przeciw dworom i w sporach o różnorakie daniny i opłaty, których dwór się domagał, stawał zawsze po stronie płacących i najeczęściej uwalniał ich od wszelakich ciężarów. Działo się to oczywiście zaraz po rozbiorach, a w księgach miejskich, gdzie niema żadnej wzmianki o rozbiorze kraju, spotyka się liczne takie właśnie zapiski. Miał jednakże Ulanów swoich żołnierzy w obu powstaniach, a w niektórych rodzinach przechowywano w sposób prawdziwie wzruszający polskie tradycje. W r. 1863 oddawali flisacy przysługi powstańcom w roli szpiegów, do czego zatrudnienie bardzo się nadawało, a gdy ogłoszono w Galicyi stan oblężenia, wielu powstańców zrećcznie w Ulanowie ukrywano i ratowano. Ogólnie powiedzieć można, że mimo wszystko dawniej i dzisiaj uczucia narodowe żywszem były tępem w miasteczku flisackim, aniżeli w innych zakazanych kątach, czyli t. zw. miasteczkach galicyjskich.

Obowiązkiem każdego flisaka było przywieźć z podróży »gościniec« dla rodziny. Bywały one bardzo rozmaite, a do tradycyjnie przywożonych podarków należały: korale, bursztyny, kadzidło do kościółka, drogie materje na sukna, futra, wódka gdańska (*Goldwasser*), pierniki toruńskie i herbata. Dzisiaj z upadkiem zarobków przywozi się szych i tandetę. Żeniąc się między sobą, flisacy ulanowscy tworzyli jakoby jedną rodzinę, związaną ze sobą najdrobniejszymi interesami. Nie brakowało jednak różnic towarzyskich. Hierarchię stanowili ławnicy miejscy i zarazem starsi rotmanowie; ci pierwsze miejsce zajmowali na wszelkich uroczystościach. Młodzież nie należała do zebrań starszych i była dość surowo wychowywaną. Jedynym dniem w roku, w którym wolno jej było ochoczko i bezkarnie się zabawić, były Młodzianki, na święto Młodzianków w czasie godów.

Dzisiaj, jak wspominałem, gubią się tradycje i patryarchalne stosunki. Flis przestał być korzystnym zarobkiem, a wskutek tego nie jest już wyłącznem zajęciem mieszkańców. Nastąpiło ubóstwo a z niem tłumna emigracya do Ameryki i do większych miast. Miasteczko traci charakter flisacki i stało się zbiegowiskiem ludzi, którzy w zmienionych warunkach szukają nowego sposobu utrzymania.
